

Od autora: Zarejestrowałam się tutaj pod koniec 2016 roku. Zamieściłam dwa teksty. I poirytowana zamieszczonymi pod nimi komentarzami wylogowałam się na dłużej, niż długo. No, bo... - co mi tam będzie truł ktoś na temat moich wymyślnych sformułowań (wymyślnych dosłownie). Po niemalże trzech latach natrafiłam (przez przypadek) na swój login i hasło. Weszłam i z nudów zrobiłam jakiś lipny wpis. Takie tam... Co mi przyszło do głowy. Wpis się ukazał. Wprawdzie na dolnej półce, ale co mi tam... Jest. Wpisałam go jako "proza -inne". Ukazał się jako felieton. Co mi tam - pomyślałam - niech będzie. Spróbuję napisać coś jeszcze, choć nie obiecuję czy będę tu na dłużej czy też wyloguję się z zniknę stąd na następne 100 lat. Mój dzisiejszy wpis (jeśli się ukaże) ma być pewną formą przedstawienia się tu na forum Portalu pisarskiego.

Właśnie wróciłam od kręgarza (specjalisty od kręgosłupa). Powiedział mi, że nie wyglądam na typową księgową, bo jestem zbytnią śmieszką. Księgowe zazwyczaj są poważne i noszą okulary.

Tak się akurat składa, że ja - tak do końca - to być może wcale tą księgową nie jestem. To znaczy jestem... Jestem jednak taka lekko zwichrowana. Nie całkiem na serio, choć zupełnie na serio traktując nasze polskie (i nie zawsze poważne choć zapewne nie śmieszne) prawo podatkowe. Tak właściwie to, mogłabym się pochwalić, że jestem doradcą podatkowym, a to już taka trochę "el(y)ta". Także się jednak nigdy nie czułam (że niby elitarnie) i o wiele bardziej wolę mówić o sobie księgowa - księgowa od "niepłacenia podatków", bo tego chcieliby zazwyczaj ode mnie moi klienci.

Rok księgowej składa się z dwóch zupełnie odrębnych, aczkolwiek zachodzących na siebie lat. Przede wszystkim jest rok podatkowy, a więc ten, który zazwyczaj kończy się 31 grudnia i najczęściej zakrapiany jest jakąś mniejszą lub większą dawką jakiegoś alkoholu (bo tak całkiem nie pić, to się jednak w tym kraju nie da). Po nim - w życiu księgowej - następują cztery miesiące katorgi. W tym Wielkanoc wciśnięta gdzieś "pomiędzy" jedno sprawozdanie, a inne. Pity. City. Bilansy. Rachunki zysków (najlepiej bez podatków i strat). Itd. Po nich przychodzi dla księgowej ten jedyny w swym rodzaju i chyba dość już wyczekany przez nią kulminacyjny moment - 30 kwietnia. Tu kończy się mój prawdziwy rok. Tu zaczyna się kilkudniowa majówkowe świętowanie, grillowanie czy co tam jeszcze. A potem znów wszystko wraca do normy. Miesiąc biegnie za miesiącem. Nim się ogarniesz już masz kolejnego 20-go, czy 25-go, a wraz z tymi datami upływające terminy rozliczeń podatków. I tak do usranej... śmierci. O emeryturze raczej można zapomnieć, bo przecież prawdziwa księgowa bez swojej pracy zazwyczaj żyć nie umie i zazwyczaj kończy w grobie. Z zeszytwniałym karkiem, skrzywionymi łędźwiami i nadwyreżonym od myszki, nadgarstkiem.

To było jakieś cztery lata temu. Pod koniec maja. Zarówno po rozliczeniach rocznych, jak i miesięcznych. Za sobą miałam bardzo trudny czas. Rok wcześniej zaliczyłam kolejną przeprowadzkę, z wykańczaniem mieszkania i siebie włącznie. Gdy się ocknęłam, okazało się, że stan niepoukładania moich zawodowych spraw jest na tyle poważny, że być może znów trzeba by w tym wszystkim coś zmienić. No i wymieniłam... Chlast. Prast. Po roku współpracy (i latach zażyłej przyjaźni) rozstałam się z moim współpracownikiem. Skończyło się kłótnią i mocnym rozczarowaniem. Chyba oby dwu stron. W międzyczasie z urlopu macierzyńskiego wróciła moja zaufana pracownica i oby dwie zaczęłyśmy jakoś ten wszechobecny bałagan ogarniać.

Tego wieczoru wybrałam się do kina. Nie pamiętam jaki to był film choć niewykluczone, że było to coś, z cyku Kino Konesera (mniemam tak, że względu na fakt, że był to czwartek). Tuż przed wejściem do bu-

dynku galerii handlowej, w której znajduje się również nasze kino zadzwoniła moja przyjaciółka. Taka przyjaciółka, która jest ode mnie starsza o jakieś dwadzieścia kilka lat, a która równie dobrze mogłaby być moją mamą. Uprzedziłam ją, że nie mogę zbyt rozmawiać i że najlepiej jak zadzwonimy się następnego dnia. W piątek. Zdążyłam od niej usłyszeć tyle, że w sobotę wyjeżdża nad morze.

- Jedziesz nad morze - jęknęłam z zazdrością.

- A co? Chcesz jechać ze mną?

- Czy ja chcę jechać z Tobą? - to pytanie bardziej zadałam już sobie, niż jej. I pożegnawszy się rozłączyłam telefon.

Następnego ranka obudziłam się z tym - strasliwym wręcz - uczuciem niemocy. Widząc za szybą mojego mieszkania słońce, poczułam taką rozpacz, że szkoda słów. Bo przecież jestem taka zmęczona, że nie potrafię już nawet mrugać oczami - żaliłam się mojej znajomej w telefon.

- No to siadaj w samochód i przyjeżdżaj do nas. Będę nocować u Jadzi. Zapytam ją czy ma jeszcze jakieś wolne miejsce.

Takim oto sposobem - w niedzielę, pod wieczór - znalazłam się w Jastrzębiej Górze. Jola zobaczywszy mnie, załamała rękę.

- Dziecko. Jak ty wyglądasz. Ty jesteś aż biała. Już ja cię tutaj wykuruję. Chodź mam dla Ciebie kolację - powiedziała, prowadząc mnie po schodach prowadzących do zamieszkiwanego przez nią pokoju na piętrze.

Długie spacer. Pyszne jedzenie. Miłe towarzystwo. To wszystko sprawiło, że odżyłam. Wracając do domu wypoczęta, odmieniona i szczęśliwa. Z zamysłem, że pod koniec lata pojadę tam jeszcze raz. Przed odjazdem zapytałam Jadzię - znajomą mojej Joli czy zagląda na FB, bo czasem coś tam sobie piszę i jak chce, to wyślę jej zaproszenie i będzie mogła tam sobie zaglądać.

- Pisziesz? Moja księgowa nie potrafi porządnie skreślić jednego zdania do skarbówki - powiedziała. Rozesmiałam się, tłumacząc jej, że ja to taka trochę nieprawdziwa księgowa. Taka trochę... inna. Niestandardowa.

Był taki czas, gdy miałam serdecznie dość mojej pracy (niewykluczone, że samej siebie, swojego życia i wszystkiego, co się z tym wiąże). Miałam wielką chęć rzucić w diabły to moje biuro i zostać prawdziwą pisarką. Prawdziwe szaleństwo podszyte cudownymi wręcz hasłami pt.: "spełniaj swoje marzenia" i... "możesz być kim chcesz". Oczywiście, że życie to wszystko potem odpowiednio zweryfikowało i pieprznięło moimi wielkimi pragnieniami o bruk. Za "nie-byciem" pisarką przemawiał nie tylko brak odpowiedniego warsztatu, ale również (albo przede wszystkim) zdroworozsądkowe podejście do moich finansów, które z takich i nie innych względów były/są w stanie dość rozpaczliwym. Siłą rzeczy musiałam więc pogodzić się z tym, co mam.

Ponoć nie ma w życiu przypadków, ale słowo "przypadkowo" zazwyczaj dopełnia naszą opowieść o tym, co wydarzyło się tak jakoś poza naszym planem. Dzięki mojej córce, która w tym czasie zdawała maturę i w tamtym czasie dość często zaglądała do miejskiej biblioteki, poszłam na spotkanie z Grzegorzem Kołodką, który prezentował u nas swoją nową książkę. Oczywiście o tematyce czysto ekonomicznej.

Usłyszałam wtedy coś mocno sugestywnego. Coś, co odmieniło moje spojrzenie na to, czym zajmuję się zawodowo.

Kołodko uprzytomnił mi czy nie jest ekonomia. Czym być nie powinna. Wtłukł mi do głowy, że to nie są tylko faktury, podatki, tabelki i wykresy, ale że to są zapisane za pomocą liczb, ludzkie historie. Że nie należy patrzeć na nie tylko jak na suche i w sumie niewiele znaczące dane, lecz doczytywać się w nich czyichś planów, marzeń i spełnienie ludzkich potrzeb. Dotarło do mnie i zakorzeniając się na tym dość głębokim gruncie, zaczęło kiełkować.

Zrozumiałam, że w tym co robię muszę doszukiwać się czegoś o wiele więcej niż dotąd i że życie, które kiedyś sobie wybrałam wcale nie musi być nudne, niemrawe i złe. Wystarczy tylko spojrzeć na pewne sprawy z zupełnie innej strony. Ożywić suche i na pozór niewiele mówiące nam liczby i wykrzesać z nich czyjaś opowieść. Nagle na księgowanych fakturach pokazały mi się stosy kolorowych lizaczków, cukierków i chipsów. W ślad za nimi szły wyobrażenia wspólnie spędzanych wieczorów, śniadań czy wielkich rodzinnych uroczystości. Moja praca weszła w zupełnie inny wymiar. Nabrał kolorów. Zaopatrzyła się w smaki. I zaczęła mieć sens.

Nie jestem ani kulturoznawcą, filozofem czy psychologiem, który zadając sobie pytanie o sens ludzkiego życia, dochodzi do takich czy innych stwierdzeń. Jestem zwykłą księgową. Umiem wytłumaczyć jaka jest różnica pomiędzy podatkiem liniowym czy ryczałtem ewidencjonowanym, ale niekoniecznie wiem, jak fachowo nazwać to, co piszę. I wiercie mi, że nie ma to dla mnie większego znaczenia. Ważne jest, że pisząc coś, słyszę potem słowa: czasami te twoje wpisy podnoszą mnie na duchu, dodają chęci do życia. A słyszę to coraz częściej.

Mam za sobą swoją własną życiową ścieżkę i wiem, co jest dla mnie dobre, a co niegdyś bywało zupełnie inne. Przeszłam długą drogę poznania. Sporo w tym było zaprzeczeń i robienia samej sobie na złość. Dziś żyję już nieco inaczej. Myślę, że dużo lepiej. Choć zapewne nie spokojniej, zdrowiej czy szczęśliwiej, bo mam jeszcze sporo zaległych spraw do nadrobienia i to w kwestiach naprawdę ważnych i zupełnie niełatwych. Jakoś jednak udaje mi się zaliczyć każdy z kolejnych dni.

Pisanie jest moją wolnością. Jest moim wentylem bezpieczeństwa. Bo jestem typem człowieka - kobiety, która woli mieć jakiś wybór, niż pozwalać o wszystkim decydować innym. Długo tego nie rozumiałam. Długo błądziłam we mgle. Wyrzekłam się pisanie, a czytanie ograniczyłam tylko do kolorowych kobiecych pism. To wszystko było ten zmyślony świat się zawalił.

Jak się nie ma co się lubi, to się lubi, co się ma. Ja lubię już siebie i swoje życie. Pisząc, ogarniam swój strach, swoje niezadowolenie, frustrację czy złość. Pisząc wyrażam swoje wzruszenie, zachwyty i szczęście. Nie zamierzam pisać tylko o tym, co mnie wkurza. Od ludzi, którzy piszą tego typu rzeczy uciekam. Dostrzegam w nich niedobory ciepła i miłości. Dostrzegam w nich wiecznie poszukiwany niedostatek, brak i chłód.

Jestem jak wiatr. Nie przysiadam na gałęziach, tylko muskam ich obrzeża. Czasem zaglądam we wgłębienie naszych niedostatków i trosk. Szukając cieni, stawiam na słońce, dzięki któremu ten cień powstaje. Bo życie składa się z przeciwności i zaprzeczeń. Czasem bywa tak, a czasem zupełnie inaczej. I nie da się być zawsze szczęśliwym, zadowolonym i niepoirytowanym. Chyba, że jednak się DA. O tym jednak nigdy nie słyszałam więc nie wiem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

SylwiaJ, dodano 27.11.2019 09:22

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.